

Teksty Drugie 1996, 4 , s. 106-112



Prawda jest mniejszym złem

Andrzej Werner

Roztrząsania i rozbiory

Prawda jest mniejszym złem

Czas pisania i czas lektury: czytałem felietony Janka Walca¹ w czasie wydarzeń żywo przypominających wydarzenia, którym i on poświęcał swoją uwagę. Ci sami bohaterowie sceny politycznej, podobne w gruncie rzeczy afery i skandale, emocje towarzyszące wyborom i trudne decyzje, które każdy z nas musiał podjąć, gorzki smak świadomości, co znaczy wybierać „mniejsze zło”. Wszak minęło kilka zaledwie lat. I tylko wynik przygniatający, o wiele bardziej ponury niż niewesołe częstokroć nowiny, którym towarzyszyło pióro Janka. Tę ciemną tonację ten i ów czytelnik może oceniać inaczej; jeśli pcham się z własną oceną, to również dlatego, że i autor *Ja tu tylko sprzątam* oceniałby ten stan podobnie, a do sprzątania miałyby dziś więcej niż kiedyś.

Pojawia się stąd pierwsze pytanie: czy gdyby te porządki zostały wówczas przeniesione ze stronicy gazety do samej rzeczywistości, gdyby pisanie okazało się choćby w jakimś procencie skuteczne, to byłaby większa szansa na uniknięcie tego smucącego nas (mnie i autora felietonów) przebiegu zdarzeń? Czyli, mówiąc najprościej: czy Janek Walc miał rację? Właśnie dziś łatwiej to stwierdzić, niż wówczas, przed kilku laty.

Powie ktoś, że racji nie miał — i to nie tylko w szczegółach, ale generalnie, strategicznie. Czepiał się bowiem wszystkich, ciągle mu się coś

¹ J. Walc *Ja tu tylko sprzątam. Felietony i szkice z lat 1988–1993*, wybór i opracowanie Małgorzata Łukasiewicz, wstęp Włodzimierz Bolecki, Warszawa, Wydawnictwo Szpak 1995, s. 447.

nie podobało: nie tylko u politycznych przeciwników, ale również, może przede wszystkim, u swoich. To, że nie podobali mu się (post)komuniści, to naturalne, to jego święty obowiązek. Ale nie umiał także wybrać sobie „swoich”, nie popierał rządu Mazowieckiego, Wałęsa budził w nim zgrozę i śmiech pusty, szydził z KPN-u i narodowców, nie budził w nim zaufania Olszewski, ani nawet Macierewicz. Kłócił się częściej z „Gazetą Wyborczą” i Michnikiem niż z „Trybuną”, a już szczególnie upodobał sobie Kościół i jego walkę o chrześcijańskie wartości w życiu społecznym i politycznym. Z takiego to właśnie warcholstwa, podziałów, walki wszystkich ze wszystkimi, a więc typowo nadwiślańskich przywar skorzystali zdyscyplinowani komuniści — i dziś musimy się napić tego piwa.

Ale dlaczego właściwie Walc przyjął taką postawę? Czy dlatego, że miał charakter nazbyt sarmacki, czy po prostu zły, a przynajmniej — czarnopodniebienny? Trzeba przypomnieć, że politycy bardzo wcześnie rozpoznali kłopotliwe Janka skłonności. Póki pisał w gazetach podziemnych i ostrze swego pióra kierował przeciw „komunie” — był w tej roli niezastąpiony. Zdawało się, że kiedy po Sierpniu powstał „Tygodnik Solidarność”, nie ma drugiej osoby bardziej predysponowanej do odgrywania pierwszoplanowej roli w tym piśmie. Ale Tadeusz Mazowiecki dostrzegł niebezpieczeństwo i Jan Walc nie został nawet współpracownikiem pisma. Początkowo myślałem, że to mająca już dość długą tradycję dyskryminacja „radykałów”, to znaczących osób, które mają taką opinię — wiadomo, że despoty nie należy drażnić. Z Kuroniem i Michnikiem, ba — w ogóle z KOR-em opozycyjni politycy i negocjatorzy (nie mówiąc już o Kościele) przez długie lata obnosili się jak z częściowo nieświeżymi jajeczkami; ekstrema winna pozostać w cieniu. Okazało się jednak, że sprawa ma głębsze podłoże, sięgające samej istoty relacji między politykami a — z grubsza mówiąc — intelektualistami, niekoniecznie o radykalnych przekonaniach. A właściwie radykalnych, ale nie politycznie, lecz w stosunku do własnej profesji i płynących z niej zobowiązań.

Tę postawę wiecznej niezgody, którą łatwo ochrzcić mianem awanturnictwa, przy odrobinie dobrej woli określić można jako niezależność myślenia, niezależność, która nie cofa się przed nakazami politycznej taktyki. Tych nakazów można było mieć dość po doświadczeniach opozycyjnej partyzantki, ba — po całym życiu spędzonym w peerelu. Zawsze byli jacyś — mniej lub bardziej — „swoi”, i przed krytyką, a nawet całkowicie parlamentarną dyskusją chronili ich żelazny immunitet, tym bardziej skuteczny, im ostrzej byli atako-

wani przez oficjalne dyrektywy prawomyślności. Było to tak bardzo dotkliwie, że w smaku wyzwolenia wyzwolenie od tej właśnie konieczności odgrywało bynajmniej niepoślednią rolę.

Życie w peerelu było życiem w fikcji. To, co przekraczało prywatność, zostało skłamane do granic możliwości, i w prywatność na powrót się przedzierało. Żadne słowo nie znaczyło już, co znaczyć powinno. Pogarda dla rozumu, ułomnego przecież i niedoskonałego, ale posiadającego jednak jakieś w miarę trwałe reguły, osiągała swoje *apogeum* — wcale nie mniejsze, niż w bardziej krwawych i okrutnych odmianach totalitaryzmu. Dla intelektualisty pracującego rozumem i, jak to mawiał Janek — w słowie — powinna to być sytuacja szczególnie trudna do zniesienia, choć większość znosiła ją nad podziw dobrze i reprodukowała w postępie geometrycznym. Podziemne pisanie Jana Walca odkłamywało słowa, język i rzeczywistość na tym terenie, który został szczególnie drastycznie zakłamany — tym regułem był podporządkowany cały drugi obieg. Piszę o sprawach banalnych i oczywistych nie tylko po to, aby uświadomić trudną sytuację, w której znalazł się tenże intelektualista po wyzwoleniu, kiedy to — zwłaszcza na terenie, gdzie dokonują się wybory polityczne — dochodzą do głosu nowe ograniczenia, gdzie trzeba to i owo przemilczeć, a przynajmniej wybrać temat i własną docieklivość zaangażować po jednej stronie politycznego układu. Ostatecznie wybór pomiędzy służbą prawdzie a strategią umacniania własnego obozu — przy rozdrabnianiu i zacieraniu się linii demarkacyjnych — był wyborem powszechnym, a bardzo wielu wybrało raczej tę drugą drogę. To zbyt ostrożnie powiedziane: bodaj nikt nie odrzucił tak konsekwentnie tej drogi, jak to uczynił w swoich pismach politycznych Janek Walc.

Właśnie, potrzebne były banały i tak gromkie słowa jak „służba prawdzie”. Wiadomo jak jest z tą prawdą i wiadomo, co Janek Walc sądził o „byciu w prawdzie” — ktokolwiek by się do tego stanu przyznawał. Służba to jednak co innego; prawda może pozostać niejasną i niedosięzną, ale kłamstwa, przeinaczanie faktów, język, który zaciemnia zamiast rozjaśniać, pogarda dla logiki, moralność Kalego i najprostsza w świecie głupota — wszystko to można wskazać palcem. A jednocześnie służba nie druźba — dwum panom służyć nie uchodzi. Jeżeli łżą swoi, przestają być „swoimi”. Gorzej — zdradzili, bo przecież po to się walczyło, aby 2 x 2 było 4, a nie siedem — tyle że własne. Felietony polityczne Jana Walca, choć bywają już zaliczane do klasyki gatunku, wyłamują się jednak pod pewnymi względami z genologicznej tradycji. Należy do niej przecież gra z czytelnikiem,

zaskakujący efekt, dowcip zwłaszcza, bywa ważniejszy niż przesłanie — czyż można mówić o przesłaniu w tak ulotnej z samego założenia formie? Owszem, Janek uwielbiał błyszczeć dowcipem, cieszył się jak dziecko z udanych konceptów, ale kiedy czyta się taki zbiór jak *Ja tu tylko sprzątam*, uderza wrażenie przeciwstawne lekkiemu duchowi felietonu: czyż można znaleźć bardziej mu obcy termin niż krucjata? A była to właśnie namiętna i zawzięta zarazem krucjata przeciw wszelkim możliwym plagom życia politycznego i społecznego — bez pardonu, niezależnie od tego, przeciw komu się zwracała. Jeśli w tradycji polskiej felietonistyki szukać porównań, to bliższa felietonom Walca byłaby publicystyka Świętochowskiego, niż na przykład felietonistyka Skamandrytów, nie mówiąc już o najnowszych wzorach tego gatunku — łącznie z Kisielewskim.

Czy za taką krucjatą kryła się wizja Ziemi Obiecanej, świata wolnego od plag wszelakich? Niekoniecznie. Co bynajmniej nie zwalnia rycerza — klerka od obowiązku walki, żeby przynajmniej było ich mniej, jak najmniej. Zwłaszcza teraz, w tej z dawna wymarzonej i wreszcie odzyskanej — tak, trzeba znowu powiedzieć — ojczyźnie. Nie tylko polityk będzie się krzywił na tak bardzo kłopotliwego sojusznika, który żadnej dyscyplinie się nie podporządkuje i nie wiadomo kiedy wsadzi nóż w plecy. Nóż w plecy, bo polityk nie będzie się pytał o racje, interesują go raczej funkcje i skutki — i to w doraźnej sytuacji, a nie z perspektywy przyszłości. Również człowiek rozsądny i doświadczony powie: a po cóż tyle krzyku, przecież wszędzie wiele jest nieprawości, a zwłaszcza już we wszystkim, co wiąże się z polityką. To przecież dopiero początki, dopiero uczymy się demokracji. Czy to jednak zwalnia intelektualistę od obowiązku? Na kartach tej książki często pojawia się pojęcie, którym przez tyle lat męczy się nasze skołowane umysły: mniejsze zło. Bo to i Jaruzelski, i zadziwiająca rehabilitacja stanu wojennego w „naszej” prasie, ciężkie przeżycia związane z wyborami, które niosły z sobą mało radosne alternatywy. Ale najciekawsze użycie tego terminu pada właśnie przy zajmującej nas kwestii: w najgorszym przypadku *prawda jest mniejszym złem*. Tak więc autor był w pełni świadomy irytacji i polityka, i zdrowego rozsądku, jego rola wszakże kazała mu odrzucić wszelkie ograniczenia. Rola, a może misja?

Podczas spotkania promocyjnego tej książki Krzysztof Wolicki powiedział, że jej autor wywodzi się przede wszystkim z Żeromskiego. Wzbudziło to pewne zdziwienie, ale mnie wydaje się trafne. Nie tylko z Żeromskiego, którego wbrew modzie bardzo wysoko cenił, ale —

może przede wszystkim z tego polskiego inteligenckiego etosu, który tak wiele Żeromskiemu zawdzięczał. Inteligenckość własnej tradycji bardzo silnie zresztą podkreślał. W czasach, kiedy było to powszechne, nie ulegał „miłości do parobka”, nie mitologizował „politycznego instynktu” ani „zdrowego jądra narodu”. Po '89 do rozpaczy doprowadzała go niekompetencja wysokich urzędników państwowych, nagminne podporządkowanie tego kryterium innym względom, przede wszystkim politycznym, wręcz pogarda dla wszelakich umiejętności, poczynając od umiejętności mówienia.

Chciałoby się powiedzieć: ileż to tematów czekałoby dziś na Janka pióro. Ale właśnie: jeszcze jedna ważna cecha, która się rymuje z tym wizerunkiem niekonwencjonalnego felietonisty. W interesie felietonisty, zwłaszcza piszącego często i regularnie, jest, żeby wokół działa się jak najwięcej, ale i jak najstraszniej, najbardziej dziwacznie i absurdalnie. Wtedy ma chleb zapewniony; jego pióro może być ostre, a dowcip zabójczy. Więcej: rzeczywistość uzasadnia potrzebę istnienia felietonisty. Wiadomo, że normalne funkcjonowanie społecznej i politycznej maszyny, to nie żaden *news* i pisać o tym nie warto. Co innego, gdy minister okaże się łapówkarzem, a następczyni tronu na lewo i prawo się puszcza. W efekcie rodzi się *Schadenfreude*, złośliwa satysfakcja, jeśli już nie z tego, że wszystko tak rozkosznie się psuje, to ze względu na potwierdzenie, że wybór tematu, ostrość sądu i podejrziliwość felietonisty są najwłaściwszym podejściem do spraw tego świata. W felietonach Walca nie znajdziemy śladu tego odczucia: nie ze względu na zbyt wielką tolerancję wobec bliźniego, a już tym bardziej niepewność własnych sądów czy przekonanie, iż wszyscy jesteśmy w równym stopniu ułomni, ale po prostu świadomość, że jeśli się źle dzieje, to nie ma się z czego cieszyć.

Ciekawe, że pasja wywracania na nice, demitologizacji czy odbrązawiania, w sposób bardziej jaskrawy przejawiała się w pracach polonistycznych Walca, nie zawsze zresztą w sposób przekonujący. Wiązało się to z zarzutami o charakterze moralno-ideowym (jak np. w szkicach z tomu *Wielka choroba*), dotyczącymi biografii pisarzy i prowadziło niekiedy do krzywdzących, moim zdaniem, redukcji dzieł literackich. Ale i to było swoistym przejawem szkicowanego tutaj wizerunku Janka, tak odległego od schematu zagończyka — wesołka: wartości literatury winny mieć swój odpowiednik w postawie żywego człowieka. Jeśli w tej postawie było coś wysoce nagannego, to i w dziele powinien się ujawnić przynajmniej cień niedoskonałości. Wie-

my, że tak być nie musi, ale marzenie o takiej jedności gdzieś nam jednak towarzyszy.

Moralistyczne podłoże — łącznie ze wspomnianą tradycją literacką i myślową — postawy pisarskiej Janka Walca w sposób bardziej bezpośredni i naoczny widoczne jest w obszerniejszych szkicach, pisanych częściowo jeszcze w prasie podziemnej, a zamieszczonych w ostatniej partii *Ja tu tylko sprzątam*. Zwłaszcza w tych szkicach, które przypominają o zbrodniach systemu, pojawia się często patos będący w pisarstwie Walca naturalnym rewersem żartobliwej kpiny.

Wypada więc wrócić do postawionego na wstępie pytania: czy czas, który minął, pozwala stwierdzić, że Janek miał w swych diagnozach i kierunku krytyki rację? W ciekawej przedmowie do książki Walca Włodzimierz Bolecki pisze, że „Janek był bez wątpienia jednym z najświetniejszych polskich pisarzy politycznych, a w swoim pokoleniu być może nawet najwybitniejszym”. Nie będę się spierał o słowo, myślę, że Bolecki zgodziłby się ze mną, że polityczność pisarstwa Walca polegała na tym właśnie, że z całą siłą zwracało się ono przeciw polityce, że było ono gwałtownie antypolityczne. Ale czy tylko przeciw głupio, nieuczciwie i krótkowzrocznie prowadzonej polityce? Z pewnością, ale nie wyłącznie, może nawet nie przede wszystkim. Upolitycznienie „opozycji demokratycznej” za czasów schyłku komunizmu polegało przecież na tym, że sama rzeczywistość była totalnie upolityczniona, że każdy gest powodowany moralnym sprzeciwem, ba — chęcią życia w realnym a nie fikcyjnym świecie — odbierany był jako gest polityczny i jako taki istotnie funkcjonował. Byliśmy wciągani w grę obcą naszej naturze i marzenie o wyzwoleniu spod opresji było między innymi marzeniem, żeby wreszcie to wszystko mieć z głowy. Żeby wszystko było normalnie, to znaczy, żeby polityką zajmowali się ludzie do tego powołani, kompetentni, a intelektualista, jak to intelektualista — intelektualizował. Złość Janka wynikała między innymi z tej zawiedzionej nadziei. Ale jednocześnie nie mógł zrezygnować ze swojej roli i zachowywał się tak, jakby wszystko było normalnie. Możemy głosić hasło powrotu polityki do moralności i powinniśmy się starać, aby rozdźwięk między nimi był jak najmniejszy, ale przecież nigdy żywiły te nie będą tożsame. I zawsze Janek zrywałby się na polityków, a politycy na niego. Choć również zawsze byłby im potrzebny i zawsze ta pomoc byłaby odrzucona. Nie był „człowiekiem kompromisu”, ani wyboru „mniejszego zła”. Chyba, żeby mniejszym złem była prawda.

Może nie miał więc racji w tym punkcie, który rodził zbyt daleko po-

sunięte nadzieje i emocje związane z ich niespełnieniem. Ale przecież miał rację nie rezygnując z tych nadziei w imię zdrowego rozsądku, który kazałby mu zmienić rolę i służyć tej polityce, która, choć niekoniecznie skrajnie w sobie zadufana, skłonna jest co dzień poświęcać prawdę w imię większego dobra, lub nawet tego, w czym upatruje zło mniejsze. Dziś bowiem jesteśmy świadkami stanu, w którym mniejsze zła i większe dobra tak bardzo się już podzieliły, tak bardzo podporządkowały rachubom, interesom i ambicjom polityków, że wszystkim pospołu przyniosły klęskę, a największą — Rzeczypospolitej. I nie widać już nawet prawdy, która mogłaby to zmienić.

Andrzej Werner

Ostatnia książka Stefana Żółkiewskiego

Ostatnia, nie ukończona książka Stefana Żółkiewskiego¹ imponuje rozmachem projektu, by opisać sto lat kultury literackiej w Polsce, poczynając od schyłku ubiegłego wieku, a kończąc na okresie burzliwej i nieuformowanej terażniejszości roku 1990. Gdyby powstała, byłaby prawdopodobnie *opus magnum* autora, zwieńczeniem jego poszukiwań teoretycznych, zainicjowanych w latach siedemdziesiątych, a ogniskujących się wokół pytań o funkcje literatury w procesie społecznej komunikacji, o role pisarzy i zachowania czytelników. Byłaby zapewne dopełnieniem, poszerzeniem prac wcześniejszych, takich jak *Kultura literacka (1918-1932)* czy *Kultura, socjologia, semiotyka literacka*, budzących swego czasu dość żywe zainteresowanie i spory.

Redaktorzy ostatniej, nie ukończonej książki Żółkiewskiego: Alina Brodzka, Maryla Hopfinger, Oskar Czarnik zdecydowali się wyodrębnić i przygotować do druku tylko niewielką jej część, poświęconą schyłkowi zaborów i drugiej Rzeczypospolitej. Choć fragmentaryczna i niepełna, praca *Społeczne konteksty kultury literackiej na ziemiach polskich (1890-1939)* pozwala dość dobrze zorientować się w zamyśle całego przedsięwzięcia. Pomagają w tym zresztą także jasno i precyzyjnie sformułowane cele i zadania badawcze, wyłożone przez samego autora. Ta względnie dobra orientacja w teoretycznych

¹ S. Żółkiewski *Społeczne konteksty kultury literackiej na ziemiach polskich (1890-1939)*, przyg. do druku A. Brodzka, M. Hopfinger, O. Czarnik, Warszawa, Wydawnictwo IBL 1995, s. 147.